

Nie łudźcie się i nie cieszcie i nie rozbijajcie!

Dzienniki podały w tym tygodniu wiadomość, że w Stronnictwie Chłopskim powstał rozłam i że posłowie z Małopolski Pluta, Pawłowski, Sobek, Socha i Opolski utworzyli osobną grupę. Powodem do tego było dla prasy sanacyjnej to, że utworzyliśmy w Krakowie Sekretariat i zaczęliśmy wydawać „Chłopską Sprawę” czego się zresztą członkowie Stronnictwa Chłopskiego domagali na zjeździe w Tarnowie. Powodem dlaczego prasa sanacyjna puściła tę fałszywą wiadomość jest życzenie i staranie się obozu sanacyjnego, aby dalej rozbijać stronnictwa, a przez to osłabiać siłę demokracji i klas pracujących.

Nie cieszcie się i nie łudźcie się — tej przyjemności wam nie zrobimy. „Chłopska Sprawa” ogłosiła jasno i zdecydowanie, że naszym celem jest doprowadzić do zjednoczenia istniejących stronnictw chłopskich w jeden silny obóz. Wierzmy, że nam się to uda, **bo we wszystkich stronnictwach są ludzie dobrej woli, którzy tą konieczność odczuwają i rozumieją.**

Ambicje niektórych polityków, również we wszystkich klubach, którzy temu zjednoczeniu przeszkadzają muszą zniknąć. Jeśli zajdzie potrzeba, będziemy te ambicje podawać pod sąd opinii chłopskiej. Nasza cała działalność nie upoważnia nikogo do podsuwania nam zamiarów rozłamu i uważamy, że ta droga byłaby zbrodnią wobec Państwa i klasy chłopskiej.

Tworzenie zaś osobnej grupy, czyli nowego stronnictwa byłoby zbrodnią głupotą, której matką musiałaby być właśnie ta ambicja osobista, która przeszkadza zjednoczeniu stronnictw chłopskich.

Kto zna szlachetny charakter prezesa Pluty, może być spokojny. Wrogowie zaś klasy chłopskiej nie łudźcie się! Wszystkie wasze pieniądze i dostojęstwa nie starczą, aby nas kupić!

Postowie Małopolscy.

Droga krzyżowa emigrantów w Argentynie.

Kurjer Krakowski podaje taką wiadomość z Argentyny.

Przyniesiono mi dziś do poselstwa ciekawy list. Stempel pocztowy: Osiek koło Sandomierza, nadany dn. 4 listopada ub. r. Podaje mi go krewny adresata.

Wewnątrz paczka opłatków i list, skreślony pismem nerwowym. Powtarzam tu treść jego dosłownie:

Tragiczny list. „Piszę do Ciebie, Kochany Mężu parę słów. Ile w tym

liście słów, tyle moich łzów. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, a spodziewam się, że mi odpowiesz. A teraz kochany mężu zasylam Ci kolendę i łamię się z Tobą opłatkiem choć listownie, bo razem nie możemy. Przykro mi kochany mężu, że się razem nie łamiemy, a jakby to było przyjemnie w jednym gniazdku, w jednej rodzinie, przy jednym stole. Ażeby to Dzieciatko Jezus błogosławiło Ci na każdym kroku i życzę Ci wesołego nowego roku, niech nadal Ci służy zdrowie i dobry zarobek.

„Kochany mężu, nie wiem co takiego się stało u ciebie, że mi się śnią takie straszne rzeczy, czy u ciebie się co stanie?”

U nas jeszcze teraz ciepła jesień, nie widzieliśmy jeszcze śniegu ani mrozu.

Pozdrawiam cię kochany mężu mile i serdecznie z synkiem i synek pozdrawia tatusia, całuje rączki i życzymy ci z synkiem wesołych świąt. Kochająca cię twoja żona Julia J. A proszę o prędką odpowiedź”.

List ten nadszedł tu 5 grudnia, a w tym samym dniu adresat nie widząc nawet listu... umarł. Umarł o tysiące kilometrów od stęsknionej żony i dziecka, żony, której „śniły się takie straszne rzeczy”. I spełnił się ten zły sen.

Historja to jakich wiele, bardzo wiele. W warunkach potwornych, przechodząc istną katorgę wegetuje tu tysiące takich emigrantów.

Gdzieś w bezludnych, słonych pustyniach, malarycznych bagniskach lub wśród skał niebotycznych, zdobywa tu tysiące naszych tułaczy owe krwawe dolary i pesy. Nie doje, nie dośpi, trapiiony przez miljarde jadowitych komarów i innych owadów, w walce z wrogiem żywiołem, tysiącami węży itp. zjada swe siły i wkońcu wycieńczony do ostatecznych granic pada poływy u wrót szpitala, skąd rzadko kto wychodzi na świat Boży.

W tym wypadku nieszczęśliwy ten tułacz dostał galopujących suchot i umarł na dwa dni przed odjazdem okrętu, który go jako repatrianta miał odwieźć bezpłatnie do Polski na zlecenie polskiego konsulatu

Nie doczekał się biedak listu ni opłatków, odszedł w zaświaty z męką nieludzką w sercu, że tam w Polsce zostawia kochającą żonę i złotowłosego synka, który „tatusiowi całuje rączki”, nie wiedząc o tem, że jest sierotą.

Do wydziału konsularnego przy poselstwie R. P. w Buenos Aires przychodzi inny list z dalekiego, groźnego budzącego, zabójczego Chaco, (czytaj „Czako”). Sama ta nazwa wystarcza, a na dźwięk tego wyrazu krzyżem św. się zęga każdy, kto tam pobylł czas jakiś. Przeczytajmy jednak, co mówi list.

W śmiercią dyszących bagniskach Chaco.

„Zaraz na drugi dzień po wylądowaniu w Buenos Aires zmusił nas zarząd hotelu emigracyjnego do wyjazdu na robotę przy budowie w Corrientes. Było nas dwudziestu, w tem kilku fachowych rzemieślników. Dano nam bezpłatne bilety kolejowe i po 40 dkg. chleba na drogę. Jechaliśmy dwie doby. Chleb zjedliśmy zaraz po kilku stacjach sądząc, że tak jak w Polsce będzie można coś kupić do zjedzenia na większych stacjach, o ile nam kompanja, która angażuje, nie dostarczy w drodze pożywienia. Zawiedliśmy się srogo. Na jednej tylko stacji można było kupić chleb, lecz w takiej cenie, że na jego kupienie mógł sobie pozwolić tylko człowiek mający większy zapas pieniędzy.

Dość że głodnych wysadzono nas z pociągu w porcie Corrientes i załadowano na parostatek rzeczny, który wioził węgiel, benzynę, rury, drzewo budowlane itp.

Na statku również nic nam jeść nie dano i wieziono tak głodnych przez 8 godzin jeszcze aż wysadzono nas na jakiejś dzikiej wyspie, (na rzece) zarośniętej drzewami — na terytorjum straszego Chaco.

Tu kazano nam wycieńczonym z głodu i zmęczenia wylądowywać zaraz zawartość statku. Musieliśmy wynosić z dna okrętu wszystkie ciężary na pokład.

Potem popędzono nas w głąb wyspy nad jakieś zgnile, zarośnięte jezioro. Znużeni śmiertelnie zabraliśmy się zaraz do przygotowania legowiska nocnego w blaszanych galponach (szopach). Sklecone z gałęzi prycze zaścielone grubo wyschniętą trawą pozwalały spodziewać się smacznego snu po tych kilku nieprzespanych nocach. Gdzie tam! Zaraz o zmroku nadciągnęły ze wszystkich stron takie masy komarów, że o spaniu nie było mowy. Połowa z nas ułożyła się do snu, a z drugiej połowy każdy z nas musiał opędzać śpiącego towarzysza i siebie od jadowitych, krwiożerczych komarów. Po dwugodzinnej warcie następowała zmiana. Śpiący towarzysz musiał na zmianę walczyć z komarami, a myśmy ułożyli się do snu znów na 2 godziny tylko. Inaczej do rana zajadłyby nas komary i a śmierć. Mimo tych środków każdy z nas był rano opuchnięty od jadowitych ukąszeń.

Druga przyjemność to miliony jadowitych węży. Na każdym kroku grożą ci śmiertelnem ukąszeniem. Jeszcze te duże nie są tak straszne: łatwo ujrzyć i unieszkodliwić. Widziałem dochodzące do 2 mtr. długości, nie wiem, jak się nazywają. Gorsze są te małe, jadowite miedziane żmijki, zwane „cobra”. Przychodzisz do galponu w południe i chcesz się rzucić na swe madejowe łóżko, by wypocząć w cieniu, patrzysz — a w twem posłaniu wypoczywa kilka miedzianych